

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 70

Poznań, 10 II 1963

Rok III

Zofia Mosiężna-Andrzejewska

START

Wspomnienia z lat burzliwej wiosny

W styczniu 1943 roku powstał w Warszawie Związek Walki Młodych. „Zrodził nas czyn” — pisali w swej deklaracji ideowej młodzi z Woli i Powiśla i stawali w oddziałach partyzanckich, krwawili w szeregach Gwardii i Armii Ludowej, batalionem czwartaków bronił honoru Warszawy.

A potem przyszło wyzwolenie — nowa epoka naszego narodu. Związek Walki Młodych rozrastał się jak fala wrącego potoku na wiosnę. Tuż za frontem powstawały grupy koła, zarządy organizacji, noszącej młodzieży polskiej hasła obowiązku pracy dla ojczyzny.

„Było nas stu
A dziś tysięcznym szeregiem
idziemy”
śpiewaliśmy na Zlocie ZWM w lipcu 1946 roku.

Ale trzeba zacząć od początku.

*

Kiedy w połowie lutego 1945 roku wyszłam po czterech tygodniach ze schronu, dostrzegłam na zawałonej gruzami ulicy plakat. Widać napisała go jakaś niewprawa ręka, bo roilo się od błędów. Ale sens był porywający.

„Wszyscy młodzi, pragnący budować wolną, demokratyczną ojczyznę — w szeregi ZWM. Nasz program: Walka, Nauka, Praca. Zapisz się. Marcin nr...”

Posłałam. W prywatnym mieszkaniu, przy ul. św. Marcina 60, młody człowiek wpisał moje dane personalne na zapewnią liczne nazwiska listę.

Zostałam wkrótce sekretarzem ZWM w dzielnicy Śródmieście. „Ojcowie miasta” przydzielili nam lokal przy Walech Jana III. Pożał się Boże, co to był za lokal. Setka chłopców wynosiła z niego przez trzy dni gruz. A potem każdy przynosił, co miał w domu. Obrazki, kilim do świetlicy, obrus na stół, papier, atrament, książki, piłkę nożną.

Mieliliśmy wówczas w kole takie- go wścibskiego Janka, co to wszedł oknem, jak go drzwiami wyrzucili. Pewnego marcowego dnia Janek zameldował się z przydziałem fortepianu w ręce. Radość była powszechna. Ale jak takie skrzydło wnieść bez fachowców na III piętro? Zgłosiło się około 30 ochotników. Krótko potem, przechodnie mogli zaobserwować taką procesję: na czele szedł chłopak z nogą od fortepianu, za nim gromada dźwigała ciężkie skrzydło, a nasz Janek wygrywał na nim z powagą (nieco fałszywie) „Mazurka... Dąbrowskiego. Ludzie zdejmowali czapki z głowy, a nam się mocno pociały oczy.

Pracy było wtedy co niemiara. Tworzyliśmy sekcje, dzieląc zajęcia według zainteresowań. Sekcja kulturalno — oświatowa segregowała książki do biblioteki i przygotowywała otwarcie świetlicy. Starsi chłopcy z sekcji gospodarczo — porządkowej zajęli się odgruzowaniem sali parafialnej przy św. Marcinie (dziś siedziba Teatr Młodego Widza), gdzie wkrótce zorganizowaliśmy pierwszą w Poznaniu wieczornicę. Jej program był przedziwną mieszaniną amatorskich występów artystycznych. Obok cłkiew piosenki „Wróć do Sorento” i popisów cyrkowej ekwilibristyki, chor śpiewał z przejęciem „My ze spalonych wsi”, a gromada chłopców skandowała twardo „Lewą marsz” — Majakowskiego. Ale wtedy wszystko wydawało nam się jednako dobre i piękne. Byliśmy zachłystni wolnością, przepełnieni chęcią czynu.

Nasze dziewczęta zorganizowały sekcję pomocy sanitarnej dla szpitali polowych. Było ich w Poznaniu kilkadziesiąt. Ten fakt wpłynął z kolei na stałe zajęcia sekcji artystycznej, która co kilka dni dawała koncerty żołnierzom w szpitalach.

Ale największy wysiłek poznańskiej organizacji Związku Walki Młodych przypadł na kwiecień. Przyrzekliśmy — rozpisując współzawodnictwo międzydzielnicowe — oczyścić do dnia 1 Maja z gruzu całą ulicę św. Marcina. Kto pamięta tę ulicę po działaniach wojennych, wie jak niełatwe mieliśmy zadanie. Przepracowaliśmy 7600 godzin, wywołując gruz i oczyszczając około 63 tysiące cegieł. Zmęczeni pracą, ale dumni, maszerowaliśmy po „naszej ulicy” w 1-majowym pochodzie.

*

Byłoby przesadą twierdzić, że wszystkie ówczesna młodzież ZWM-owska w Poznaniu i Wielkopolsce to byli urodzeni rewolucjonści. Większość ZWM-owców wychowała przecież przedwojenna szkoła sanacyjna, a twarda wymowa dziejów przebytej wojny nie u wszystkich wyrugowała męlik ideowy zaszczytów tradycją wychowania i obyczajów. Toteż przed kadrą ZWM-owską stało pilne zadanie kształtowania światopoglądu młodzieży, poszerzenia jej spojrzenia politycznego, wychowania na dobrych obywateli. Wprawdzie masy młodzieży, kierując się zdrowym instynktem, pragnęły Polski innej niż tamta, przedwojenna, znana z dni bezrobocia ojców, zmartwień matek i tęsknot młodych do wiedzy i szerszych horyzontów. Ale pokierbowanie tymi siusznymi chęciami w sposób ideowo prawidłowy, nie było sprawą najłatwiejszą.

Pierwszą kuźnią kadr ZWM-owskich stała się Centralna Szkoła Związku Walki Młodych w Łodzi. Na jej drugi, dwumiesięczny kurs, w maju 1945 roku, wyjechałam razem z Zenkiem Karpińskim — dziś także dziennikarzem, pracującym w „Gazecie Poznańskiej”. Szkoła mieściła się w dawnym pałacu fabrykanta łódzkiego Plichala. Otaczał ją piękny park z grotami, wodotryskiem i innymi wspaniałościami. Poza tym jednak wszystko było w niej zorganizowane po spartańsku. Spaliśmy na piętrowych łózkach polowych, jadaliśmy na śniadanie niezmiennie chleb z marmoladą i „wkuwaliśmy” od rana do nocy. Nikt nas wprawdzie do tego nie zmuszał. Piłiśmy wiedzę jak wysuszone gąbki. Troszczyła się o wszystkich kierowniczka szkoły — Marta Ciesielska-Strzelecka, musiała niektórych o 3 nad ranem wyrzucić z czytelni.

Zróżnicowany poziom dotychczasowej wiedzy u słuchaczy powodował, na seminariach, orgie kiótni ideologicznych. Ich echa przenosiły się na sale sypialne, stając się raz po raz przyczyną wojny na „jaśki” i poranne pantofle. Nasze niepokojące filozoficzne łagodził jednak przykład ludzi kierujących szkołą. Jerzy Morawski, Janina Balcerzak, Arnold Stucki, uwielbiana Marta Ciesielska i inni, byli ludźmi, którzy żywym przykładem swojego dotychczasowego życia potwierdzali jedność wykładanych nam treści z praktyką.

Szkoła Centralna ZWM w Łodzi była prawdziwą kuźnią kadr Związku Walki Młodych. I to nie tylko ze względu na zasób wpajanej tam wiedzy, ale głównie — na atmosferę promieniującą wiarą w ludzi i zdolność zorganizowania ich rękami sprawiedliwego porządku społecznego.

Pasażerowie, zakutani w płaszcze i szaliki, krążyli po wagonie, sapiąc i klnąc. Od czasu do czasu ktoś moczył się z kłamką i przechodził do innego wagonu. Przypomina to sceny z filmu „Cud w Mediolanie”, gdzie przemarnieści ludzie biegali po placu za promieniami słońca, żeby się ogrzać. Ale tutaj, w każdym wagonie, jest samo zimno. Tyle, że nie wieje.

„Chodziło się, proszę pana, tyłem. Najgorzej było na początku. Zawieja była w nocy taka, że nie widzieliśmy się i nie słyszeli z paru kroków. Krew człowieka zalewała: nabrał śniegu, podniósł — łopata puła. Oczyścił rozjazd z jednej strony, odwrócił się do drugiej szyny — a tam, gdzie dłużej przed chwilą, znów peino. Dmuchiło parę razy, cześć, cała robota do kitu. I tak w kółko Maciejowi.

Najgorsze to te rozjazdy, czyli zwrotnice. Kiedy duży mróz, wszystko się kurczy i śnieg wypycha się pod iglicę — nie wydłubiesz. Trzeba grać lampą, na kolanach. Ale nawet gdy śnieg nie pada, mamy ładną polkę z rąbaniem lodu. Parowóz nie butelka, zawsze trochę z niego przecieka. Co dopiero mówić gdy bierze wodę, albo oczyszcza palenisko; wtedy na torach tworzą się zwały lodu i szlaki, twarde, jak beton. Trzeba bez przerwy rąbać oskarde i wywozić.

Albo tak: przechodzi melunek, że pękła szyna. Pół biedy, gdy niedaleko od stacji, lub w takim miejscu na szlaku, gdzie można podjechać. A jeśli pęknie, diabolica, gdzieś w szczyrim polu, dokąd trzeba nieraz wszystko przenieść własnymi rękami? Tę zakutą mrozem na kamień, odkreślisz wreszcie tę nakrętkę — za chwilę jej nie ma, bo śnieg zasypał. I szukaj palcami. No to chowaliśmy, co się dało, do kieszeni.

A kiedy wróciłmiś, to ledwie się człowiek zagrzezał, kawy napił, „Sportem” zaciągnął — znów wylaż. Nażykaliśmy się śniegu w tym roku, jak nigdy...”

Do wagonu wchodzi jakaś kobiecina. „Ale mróz — mówi — wiecie państwo, jaki mróz?” Pasażerowie patrzą na nią w milczeniu, więc kobiecina dodaje z podziwem: „Prawie przedwojenny! Pamiętam, w dwudziestym dziewiątym...” Pasażerowie odwracają się, potupują, tylko jeden, z teczką, rzuca poirytowanym tonem: „W dwudziestym dziewiątym, no i co? Teraz mamy sześćdziesiąty trzeci. Pociąg nie ruszył jeszcze ze stacji, a już pół godziny spóźnienia. Trzeba było przewidzieć, przygotować się jakoś do zimy...”

Mówi naczelnik Zarządu Drogowego DOKP, inż. B. Tuszyński; to samo słyszę później od naczelników Oddziałów Drogowych:

„Jak co roku, opracowane były z góry plany pomocy ze strony wojska i rad narodowych. Przygotowaliśmy wszelki dostępny nam sprzęt: świdy i motki pneumatyczne, urządzenia do wydmuchiwania śniegu, pługi. Nie brak ciepłej odzieży, łopat, oskarów, i to nie tylko dla naszych pracowników. Były w pogotowiu dwa pociągi zmechanizowane. Nie, nie byliśmy zaskoczeni; ale — fakt — w tym roku mróz i śnieg zaatakował szczególnie ostro i to szerokim frontem. Przy takim mrozie urządzenia pneumatyczne zaczynają zawodzić, trzeba pracować ręcznie. W sumie: to, z czym dawaliśmy sobie radę w przeciętnych warunkach, tej zimy zaczęło przekraczać nasze możliwości, którymi dysponujemy, którymi w ogóle można dysponować. Pomagali więc pracownicy administracji, przedsiębiorstw kolejowych; pomagały rady narodowe, jedne lepiej, drugie gorzej, to prawda. Szybko na przykład pomogły rady w Swarzędzu i Wargowie w pow. Oborniki; we Wrześni i Koninie wiele zawdzięczamy inicjatywie Komitetów Powiatowych PZPR. Bardzo sprawnie i szybko stanęło do pracy wojsko. Własnymi siłami nie podołalibyśmy wszystkiemu. Proszę popatrzeć na mapę, policzyć długość szlaków i torów, ilość rozjazdów. Niektórych trzeba pilnować bez przerwy; mamy przecież takie, które gdy nieczynne, blokują pracę całej stacji...”

Patrzę na mapę. Ze wszystkich tych miejscowości, oznaczonych kółkiem lub poprzeczną kreską, biegły po drutach telefonu meldunki tutaj, do centrali, gdzie dyżurny się i wydaje dyspozycje przez 24 godziny na

Krzysztof Monikowski

Ludzie na torach

dobę. Meldunki, wpisywane do księgi, brzmiały sucho, mało w nich słów, wiele liczb: pracowało tylu a tylu ludzi przez tyle a tyle godzin. W księdze się nie notuje, ile razy ludzie, tkwiący uporczywie na torach, musieli wysłuchiwać w domu: „Stary, stuknij się w czoło, zostałeś w domu, co ci tam ciągnie, za te głupie pieniądze?”; nie zanotowano w niej, ile kilometrów przewędrowały nogi w walonkach, ile razy zabijano ręce i chuchano w skostniałe dłonie, ile przekleństw nasłuchiwały się mróz i śnieg. Żeby to wiedzieć, trzeba było być tam albo wyobrazić sobie.

„... I niech pan sobie wyobrazi, kolega zachorował, i ta delegacja akurat na mnie spada, taki pech! — mówi pasażer z teczką. — Kiedy ja tam zajadę? Gdzie przenocuję? Jak panowie myślicie, czy tamten pociąg z Katowic przyjedzie punktualnie?” Dwa kolejarze, do których skierowano ostatnie zdanie, nie odpowiadają. Co tu odpowiadać? Manewrowi, wracając z Francji. Im, ze służby ruchu, zima, podobnie jak drogowcom, odpowiedzialnym za tory, dokuczała tak samo, to znaczy najbardziej. Mogłoby wiele powiedzieć, jak przetaczało się oblodzone wagony, te puste, na które czeka Śląsk, i te pełne z węglem, na który czekamy wszyscy. Milczą, palą, oczy zamykają się same.

Jak to wszystko ująć w liczby? Można dla przykładu podać, że wywożono z węzłów po sto wagonów śniegu dziennie. Ze z takiego np. węzła jak Poznań wywozi się obecnie, kiedy nie jest już tak źle jak poprzednio, 10—15 wagonów wyrąbanego spomiedzy torów lodu na jedną zmianę, a drogowcy pracują przeciętnie na trzy zmiany. Można podać, że niektórzy z nich pracowali po 16 godzin na mrozie bez przerwy. Ponad 80 procent robotników służby drogowej poznańskiego węzła dojeżdża do pracy spoza Poznania. Były więc trudności z przyjazdem na miejsce pracy. Ale za to ci, którzy przyjechali, sami zostawali dłużej po skończeniu swej zmiany. Chociaż mogli pojechać do domu, z opóźnieniem wprawdzie, ale zawsze — do ciepłego, własnego domu. Narzekali, kięli — i wychodzili na tory. Tych, którzy powiedzieli „nie!”, można policzyć na palcach. Dosłownie.

Jak to pogodzić z popularnym w naszym kraju, i wcale zresztą nie mitycznym skądinąd powiedzonkiem: „Czy się stoi czy się leży...”?

Pociąg nareszcie ruszył, ogrzewanie zaczyna działać, niechętnie i słabo, ale zawsze. Humory poprawiły się, pasażerowie przestali się kręcić, tupią nadal, ale już na siedząco. „Kolejarze drzemają w kacie, pan z teczką studiując rozkład jazdy, kobiecina opowiada dokładnie, jak to było w dwudziestym dziewiątym. Na oknach — biała, nieprzeźroczysta tafla. Nie widać stąd stacji, wagonów, ani grupek ludzi, ubranych w grube waciki, kręcących się po torach: tych wszystkich zawodowców odcinków, manewrowych, maszynistów, palaczy, konduktorów, torowistrów, ani droźników obchodowych, którzy chodzą wzdłuż szlaku i patrzą: czy aby, diabolica, nie pękła? Nie widać też zwykłych robotników drogowych, którzy — gdy pociąg przejeżdża — pójdą po raz setny dłużyć śnieg i lód przy innym rozjeździe.

Pociąg jedzie...

Irena Solińska

BEDE Z WAMI...

Rok mija od dnia, w którym dowiedzieliśmy się, że Broniewski nie żyje. I choć ostatnie lata kazały nam żegnać niejednego wielkiego twórcę, to przecież pożegnanie z Broniewskim miało zupełnie inny, specjalny wymiar. Rok, to zbyt mała miarą czasu, aby pokolenie, któremu wiersze dawał „jak chłop zboże, jak górnik węgiel”, zdolało się ośwoić z Jego nieobecnością. To również za mało dla krytyków, aby zdążyli skrupulatnie „poszufladkować” cały dorobek twórcy poety zanim przesuną go z kręgów współczesności do skarbca historii literatury polskiej.

W Płocku, gdzie w grudniu 1897 r. przyszedł na świat Władysław Broniewski znaleźć można unikalne egzemplarze pisemka „Młodzi idą”. Są w nich pozycje podpisane: H. Dembowski. Przybierając ten pseudonim Broniewski — gimnazjalista manifestował swą zbieżność z poglądami „czernego ksztelanica”. Żywe w domu rodzinnym tradycje Powstania Styczniowego, płomienne dyskusje wśród kolegów z Ligi Antyklerykalnej i Młodej Socjalistycznej, trudne warunki po śmierci ojca, wszystko to uwarściło przyszłego Poetę na słowa: ojczyzna, walka, sprawiedliwość społeczna. One to do końca bujnego, pełnego niepokoju, życia będą bijącym źródłem Jego poezji, „krwią i mocą”.

Patrzył i fantazje 17-latkę zaprowadziły Broniewskiego do oddziałów legionowych, gdzie bijąc się i pisząc, dorastał. Powie po latach z goryczą: „Byłem wtenczas jak szczeniak ślepy”. Rozstawszy się mundurem w 1921 r.

Broniewski trafia w sam wir ówczesnego życia literackiego. Choć poznał różne modne wówczas kierunki poetyckie, szuka dla swych utworów najprostszych środków artystycznych. Chce, aby zrozumieć go ci z suferen i z poddaszy, z robotniczych dzielnic Warszawy i Łodzi, ludzie czarnego Zagłębia. To dla nich przede wszystkim pisze i o nich. W 1925 r. wydaje pierwszy tomik „Wiatraki”, w rok później „Dymy nad miastem”. Wraz ze Słanem i Wandurskim pisze „Trzy salwy”.

W pierwszą rocznicę śmierci Władysława Broniewskiego

Odrzuciwszy pokusy dostatniego, ustabilizowanego życia — wiąże się z wydatnymi lewicowymi: „Nową Kulturą”, potem „Dzwignią” i „Miesięcznikiem Literackim”. Całym sercem i talentem służy sprawie rewolucji. Wieszcz Jego poezji przekształca się samoradnie w mityngi. Powstają wiersze pełne, mocne i porywające, inne, pełne ciepła i współczucia dla ludzi uginających się pod ciężarem życia. Poem przyszedł tomik „Krzyk ostateczny” (1939 r.) i druga wojna światowa.

Szedł drogą Polaków — tak napisał w pośmiertnym wspomnieniu o Broniewskim jeden z przyjaciół. Trudno o bardziej lapidarne ujęcie istoty poetyckiej drogi twórcy „Kolumny Paryskiej”. Na wojennym szlaku wiodącym przez Związek Radziecki, a potem kraje Bliskiego Wschodu, po-

wstawały wiersze pełne liryzmu, zrodzone z tęsknoty za krajem, to znów wiersze, którymi Broniewski, jak dawniej, pragnął zagnać do czynu, do walki. Niepokój o losy najbliższych spletał się nierozzerwalnie z dręczącym niepokojem o los całego narodu. Wrażliwe serce wielkiego romantyka dwudziestego wieku reagowało jak sejsmograf na każde współczesne mu wydarzenie. Zapis powstał wierszem „Bagnet na broń” i „Drzewo rozpaczające” to zbiory owych jedynych w swoim rodzaju zapisów, jakie stworzył Broniewski w latach drugiej wojny. Gdy nadeszły dni wyzwolenia, wiersz „Do domu” brzmiał jak pobudka. „Czas ująć w dłonie piług, pióro i łom, czas dom budować, czas wracać”. Upamiętniał poemat swymi wierszami to co cieszyło go w wolnej ojczyźnie, co go wzruszało. Wierny syn Mazowsza wyświadczył swej ziemi rodzinnej piękny pomnik — poemat „Mazowsze”, wiele stróf poświęcił królowej rzek polskich — Wiśle. Z ojcowskiego bólu słał poetycki nagrobek — zbiór wierszy napisanych po śmierci ukochanej córki, Anki.

Gdziekolwiek pojawiał się Broniewski, w klubach fabrycznych, czy w klubach studenckich, wśród weteranów, starych komunistów, w aulach szkół, witano go jak kogoś kogo dobrze się zna. Kiedy recytował „Zagłębie” — widownia spontanicznie odpowiadała gromkim: „gołowe!” Choć pisał dalej prosto, wcale nie „modnie” trafiał do młodych „nowoczesnych”. Brał ich szlurmem, porywał. Chyba dlatego, że jego twórczość we wszystkich okresach potrafiła poruszyć najczulsze strony polskiej duszy. Bo jest w tej twórczości romantyzm rewolucji i walki, jest bezmiar najczystszej liryki patriotycznej i liryki miłosnej, jest marzycielska zaduma. To wszystko, co towarzyszyło współczesnym Pociem pokoleniom, i co było najbliższe, wspólnie, Broniewskiemu i nam.

Historia i dzień dzisiejszy

Tadeusz Kaczmarek

O kres formułowania myśli politycznej polskiej demokracji ludowej czekał się dotychczas, mimo podjęcia studiów i badań historycznych, niewielu całociowych opracowań. Tym cenniejsze i tym bardziej potrzebne są wydawnictwa o charakterze źródłowym, na których nadmiar, niestety, nie można narzekać. I dlatego między innymi wart jest szczególnej uwagi tom I „Artykułów i przemówień” Władysława Gomułki. Książka, która niedawno trafiła na półki księgarskie, stanowi źródło wiedzy o początkach (lata 1943—1945) Polski Ludowej. Zawarto w niej najważniejsze prace Władysława Gomułki, który latem 1942 roku wszedł w skład kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej, a od listopada 1943 roku był I sekretarzem KC PPR, pełniąc następnie — od roku 1945 — także funkcje państwowe: wicepremiera i ministra Ziem Odzyskanych.

Artykuły (w „Trybunie Wolności”, „Głosie Ludu”, „Rzeczpospolitej”, „Trybunie Związkowca”) i przemówienia, zawierają polityczną ocenę doniosłych, także dla dnia dzisiejszego, zjawisk i wydarzeń; są zarazem wyrazem politycznej i ideologicznej platformy młodej wówczas Polskiej Partii Robotniczej, dokumentem jej działalności i walki.

Przez wszystkie kartki książki ze szczególną siłą przewija się idea zjednoczonego frontu narodowego, której głosiicielem była PPR od pierwszych dni swej działalności. Partia przewodziła tej idei w dniach walki z hitlerowskim okupantem: „Apelujemy do wszystkich Polaków, aby ze wszelkich sił poparli sprawę zjednoczonego, walczącego frontu narodowego” (z listu otwartego KC PPR do Delegatury krajowego rządu gen. Sikorskiego — 15 stycznia 1943); partia konkretyzowała tę ideę po powołaniu do życia reprezentacji politycznej narodu w postaci Krajowej Rady Narodowej, a potem pierwszego rządu Ludowej Polski — Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego: „Front narodowy, będący wyrazem odradzającej się demokracji, nie może być pomyślany i nie jest przez Manifest PKWN pomyślany tylko na czas trwania wojny. Front narodowy stanowi w ogóle siłę demokracji. Bez trwałej współpracy wszystkich warstw narodu i wszystkich demokratycznych kierunków politycznych nie może być mowy ani o szybkiej odbudowie straszliwie zniszczonego kraju, ani o możliwości szeroko reform społecznych” (z referatu na zjeździe przewodniczących rad narodo-

wych w Lublinie — 29. IX. 1944).

Realizacja takiej polityki sprzyjała zjednoczeniu obozu demokracji w blok sił demokratycznych i konkretyzowaniu idei frontu narodowego w latach odbudowy i później socjalistycznej przebudowy kraju.

Książka jest historią narodzin Polski Ludowej. Znaleźć w niej można poglądy partii na wszystkie najbardziej istotne wydarzenia tego okresu; zawiera charakterystykę i uzasadnienie powołania Krajowej Rady Narodowej, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, później rządów Tymczasowego i Jedności Narodowej i jest partyjnym dokumentem walki o przemiany społeczne — reformę rolną i nacjonalizację przemysłu. W artykułach i przemówieniach zawarta jest — na szerokim tle między-

Nad I tomem
„Artykułów i przemówień”
Władysława Gomułki

narodowego układu sił w powojennym świecie, koncepcja nowej Polski: wolnej, demokratycznej i niepodległej, z granicami między Bugiem a Odrą, opierającej się na sojuszu ze Związkiem Radzieckim i pokojowej współpracy z wszystkimi innymi krajami, koncepcja Polski, której jedynie prawowitymi gospodarzami (reforma rolna, zapowiedź nacjonalizacji przemysłu) są ludzie pracy: klasa robotnicza pod przewodnictwem swojej partii robotniczej w sojuszu z chłopstwem i demokratycznymi warstwami narodu.

Historia narodzin Polski Ludowej, to lata burzliwych starć — najpierw z okupantem, później z rodzimą reakcją. Demaskując postawę reakcji, która w latach wojny i po wyzwoleniu kraju parła do walki bratobójczej, Wł. Gomułka często konfrontuje słowa i czyny przedstawicieli wrogich ludowi sił politycznych, bezlitośnie demaskując ich koncepcje.

Czytelnika Zbioru „Artykułów i przemówień” uderza siła rzeczowej, spokojnej w tonie i szczerzej argumentacji. Posługując się zawsze partyjną, marksistowską oceną zjawisk, autor odrzuca metodę przyklejania etykietek (przemówienie „Nasze trudności i drogi ich zwyciężenie”)

nia”), występuje przeciwko tendencjom do odmawiania zasług bojownikom o niepodległość Polski z powodu przynależności do określonej grupy bojowej (przemówienie na I Zjeździe Uczestników Walki Zbrojnej z Niemcami) i nigdy nie pomija kwestii trudnych czy drażliwych.

O kres od utworzenia KRN do I Zjazdu PPR (grudzień 1945 r.), to pierwsza faza przemian ustrojowych i społecznych. W walce o nie marksistowska Polska Partia Robotnicza kształtowała myśl polityczną i koncepcje polskiej demokracji ludowej. Charakterystyczną cechą tej teoretycznej i praktycznej pracy partii było ścisłe wiązanie rewolucyjnych celów z sytuacją w kraju i specyfiką narodową: „Okres demokracji, w naszym przekonaniu, toruje drogę do wspólnego naszego celu, do socjalizmu. Chociaż wojna skończyła się, to jednak nie skończyła się ona dla klasy robotniczej, walka z reakcją dalej trwa i trwać będzie jeszcze długo. Dlatego też do tej walki pragniemy zmobilizować wszystkie postępowe i demokratyczne siły, a nie tylko elementy najbardziej świadome, elementy socjalistyczne” (Wspólna droga PPS, PPR — 29. VI. 1945).

Szukając dróg polskiej rewolucji, partia twórczo korzystała z nauk marksizmu-leninizmu: „...w warunkach demokracji ludowej, przy wzmocnieniu władzy politycznej i aparatu państwowego przez elementy konsekwentnie demokratyczne, przy rozwoju produkcji narodowej, jest całkowicie możliwa droga ewolucyjnych przemian społecznych i ewolucyjnego przechodzenia do ustroju socjalistycznego. Demokracja ludowa przesłabiła w sposób pokojowy w demokrację socjalistyczną. (Sprawozdanie polityczne KC PPR na I Zjeździe Partii, wygłoszone przez Wł. Gomułkę — 7. XII. 1945).

Taka koncepcja demokracji ludowej była możliwa dzięki konsekwentnie marksistowskiej metodzie badania zjawisk ówczesnego polskiego życia politycznego i społecznego. Lektura tomu „Artykułów i przemówień” jest więc także przypomnieniem, że socjalizm, który dzisiaj budujemy, wyrósł na dobrze przygotowanej glebie pierwszych lat działalności Polskiej Partii Robotniczej.

*) Władysław Gomułka — Artykuły i przemówienia tom I, styczeń 1943 — grudzień 1945, wyd. „Książka i Wiedza”.

Feliks Biłos

Spotkanie z Leningradem

Pierwsze spotkanie z miastem — podobnie jak z człowiekiem — decyduje o naszym do niego stosunku. Od owego przełotnego na pozór wrażenia dużo zależy.

O Leningradzie wiedziałem, że jest „Wenecją Północy”, oglądałem wiele zdjęć reprezentacyjnych budowli, znałem opowiadania turystów. Tym bardziej niepokoiło pytanie, jakie jest to miasto naprawdę?

Już sam przejazd trasą metra z Dworca Bałtyckiego do Pałacu Kultury przy Moskiewskim Prospekcie wywiera wrażenie: lśniąca biel marmurowych, sucho złoconych ścian stacji daje niejako przedsmak tego, co czeka nas w tym mieście.

To nie przypadek, że leningradzcy rozpoczynają oprowadzanie turystów od Striełki Wasilewskowo Ostrowa. Właśnie tak jak wygląda z tego miejsca — ogromny i wspaniały — pozostaje Leningrad w pamięci. Ze Striełki widać wszystko: szeroko rozlane wody Newy, rozgałęzionej na dziesiątki kanałów, splecionych licznymi mostami, wspaniały fronton Pałacu Zimowego, złołą kopułę Isakiewskiego soboru, Twierdzę Petropawłowską, ze strzelającą wysoko wieżą cerkwi, gmach Admiralicji, z charakterystyczną, lśniąca złotem iglicą i dziesiątki innych, co znamienitszych budowli.

Oto masyw Twierdzy Petropawłowskiej. To tutaj właśnie, na bagnistym, porośniętym olchą i osiną półwyspie, odbywały się przed 160 laty narodziny miasta. 16 maja 1703 roku, na sygnał armatniego salutu, zasłukały siekiery, zadzwoniły piły, poszły w błotnisty grunt pierwsze pale...

Nasycony wzrok pięknem nadniewskiej panoramy, ruszamy na zwiedzanie poszczególnych obiektów. Pałac Zimowy, Smolny, Pole Marsowe, Miedziany Jeździec, Domek Piotra I, gmach Opery i Baletu — przepych marmuru, mozaiki, złota, malachitu — owe cuda Leningradu, które tyle razy stawały się natchnieniem pisarzy i poetów.

Trudno chodzić po tym mieście, nie wspominając historii — dawniejszej i najnowszej. Burzliwe dzieje Leningradu okresu rewolucji, tragiczna epopeja 900 dni hitlerowskiej blokady, wszystko to zmusza do refleksji.

Oto wielki plac przed Pałacem Zimowym. Tu widać, jak wielką przestrzeń musieli przebiec pod ogniem — szturmujący żołnierze, zanim wdarli się do Pałacu. Sam Pałac, o zielonych fasadach, z białymi, bogato rzeźbionymi framugami okien i dziesiątkami kolumn, wywiera niezapomniane wrażenie.

Właśnie w Pałacu Zimowym mieści się słynny Ermitaż — jedna z największych na świecie galeria obrazów i rzeźb. Zagubiony w ludzkim tłumie (była niedziela), wędrowałem przez dziesiątki sal, podziwiając zgromadzone tam dzieła sztuki. Ponad 2.300 tys. eksponatów z dziedziny malarstwa, rzeźby, kosztownych tkanin, fajansów, wyrobów ze srebra, złota, kości słoniowej i drogich kamieni, pozwalają prześledzić niemal całą ewolucję sztuki światowej. Oczywiście, trzeba by na to wiele dni...

Tymczasem w programie — „Aurora”. Okręt — muzeum, zakotwiczony na jednym z licznych rozgałęzień Newy. Już z oddali rysuje się charakterystyczna sylwetka krążownika, z którego 45 lat temu padła historyczna salwa.

45 lat — dużo to czy mało? Chyba nie tak znów wiele, jeśli po krótkich schodkach okrętu oprowadza wycieczkowiczów były marynarz „Aurory”, Trofim Georgijewicz-Rutkowski. Kiedy okręt walił z dział na Pałac Zimowy, 22-letni wówczas matros Rutkowski, pilnował z karabinem w ręku — aresztowanych przez Komitet Wojenno-Rewolucyjny oficerów „Aurory”. Teraz, po latach walki i trudu, wraz ze swoim okrętem zażywa zasłużonego odpoczynku.

Drewniany pomost, przerzucony z granitowego nabrzeża do burt „Aurory”, łączy jak gdyby dwie — jakież odległe — epoki, dzielące ludzkość od szturmów na Pałac Zimowy do szturmów na Kosmos. Nowski Prospekt, to prawdziwe leningradzkie City — pełne okazałych magazynów, sklepów i restauracji. W jednej z reprezentacyjnych księgarni odbywa się wystawa i sprzedaż książki polskiej. Wewnątrz tłoczno i gwaro. Z głośnika płyną melodie naszych piosenek. Ekspozycja, zorganizowana z dużym rozmachem, obejmuje całość polskiego ruchu wydawniczego. Wśród licznych znaków firmowych, dostrzegam również charakterystyczną winietę Wydawnictwa Poznańskiego. Stoiska — obłożone, przeważają studenci i młodzież szkolna, chociaż nie brak ludzi starszych.

Hotel „Rasija”, w którym się zatrzymałem, jest dziesięciopiętrowym gmachem o kształcie pudełka zapalek, ustawionego pionowo. Wyłowne wnętrza technicznie nowoczesnością i elegancją. Stoi on w najnowszej dzielnicy Leningradu, ciągnącej się wzdłuż szerokiego i prostego jak strzała Prospektu Moskiewskiego.

Wieczorem z ósmego piętra mojego pokoju podziwiam fantastyczną scenę milionów światła wielkiego Leningradu. Wracam myślą do dni walki i bohaterstwa jego mieszkańców, którzy z taką desperacją bronili dostępu wroga do bram swojego umiłowanego miasta.

opadowej rozdziela się w ten sposób, że około 1/3 przypada na parowanie, 1/4 na odpływ i 1/4 na infiltrację.

Należy przyjąć, że miejscami wyparowanie dochodzi do 60 a nawet 70 proc. Ileż więc wówczas pozostaje wody na odpływ i infiltrację?

W każdym razie mechaniczna ocena infiltracji na 30 proc., jak to często wobec braku dokładniejszych danych się przyjmuje, wydaje się bardzo przesadzana. Trzeba bowiem pamiętać, że infiltracji prawie zupełnie nie ma na gliniastych równinach Niziny Wielkopolskiej. Tym się właśnie tłumaczy ubóstwo wód gruntowych na wysoczyznach. Woda opadowa wsiąka w głębsze podłoże tylko w miejscach, gdzie powłoka gliniasta jest rozcięta przez doliny i rynny. Zanim jednak dotrze do owych dolinek, po drodze znacząca jej część zdąży wyparować. Równiny wysoczyznowe reprezentują więc wybitnie niekorzystne obszary infiltracyjne. W tej sytuacji rolę dolinek i dolin, rynien i wszelkich zagłębień, zwłaszcza zaś pradolin jest niezwykle doniosła. Są to najważniejsze i właściwie jedyne obszary infiltracyjne.

Obszary infiltracyjne chłoną oczywiście każdą wodę, zatem tak dobrą jak i złą. Jeśli rzeka prowadzi przez dłuższy czas przemysłowo lub nuklearnie skażoną wodę, to z szacunkowych obliczeń wynika, iż doliny poziom wód gruntowych o grubości mniej więcej 15 m, a szerokości 2 km, może ulec skażeniu w przeciągu kilku miesięcy (do roku).

Wbrew rozsądkowi wszystkie możliwe ścieki fabryczne i inne wpuszczamy w doliny, zatem w system obszarów maksymalnej infiltracji, odnawiający zasoby wodne podzie-

mia naszego regionu. Nie trzeba szeroko uzasadniać, że jakość wód gruntowych obszarów dolinnych, szczególnie zaś obszarów pradolinnych, tych obecnie najzasobniejszych powierzchniowych zbiorników wody gruntowej, będzie w głównej mierze zależała od jakości wód strug płynących owymi dolinami. One bowiem przede wszystkim nasycają piaski i żwiry dolinne.

Rozsądek nakazuje zrobić wszystko, by nie dopuścić do skażenia owych podstawowych poziomów wód gruntowych; rozsądek również nakazuje, aby przewidzieć takie poziomy wodne, które nawet w przypadku poważnego skażenia dolinnych wód gruntowych pozostaną czyste, zdadne do użytku.

Oczywiście, w grę wchodzi wszystkie te poziomy wodne, które nie korespondują z wodami większych dolin; w grę wchodzi przede wszystkim wody gruntowe rynien małych dolin, wysoczyzn, a gdy wody i tych ostatnich uległyby skażeniu — na co potrzebny byłby zapewne dłuższy okres czasu, liczący kilka lat a nawet kilkanaście, pozostałyby do dyspozycji poziom wodny formacji węgla brunatnego, jako najpewniejszy. Praktycznie bowiem skażenie tego poziomu z uwagi na grubą powłokę ilów poznańskich, znakomitego izolatora, byłoby tak długotrwałe (setki i tysiące lat), że właściwie nie wchodzi ono w grę.

Zasoby wodne województwa poznańskiego, dzięki ogólnie korzystnej strukturze geologicznej, są raczej znaczne. Może to mieć w przyszłości, jeśli z wód podziemia zechcemy skorzystać, wielkie znaczenie wobec ostrego deficytu w wodach powierzchniowych.

Nauka wobec uprzemysłowienia Wielkopolski

Poniżej publikujemy skrót referatu, wygłoszonego na grudniowej sesji Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przez prof. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, dr. Bogumiła Krygowskiego. Referat ten wywołał dyskusję, bo zagadnienie wody w naszej gospodarce, tak przemysłowej, jak i rolniczej, ma olbrzymie znaczenie; opinia poznańskiego naukowca niewątpliwie zainteresuje wielu naszych Czytelników.

Dzięki wyrazistości granic oraz swego rodzaju fizjograficznej odrębności kraina wielkopolska daje się stosunkowo łatwo oddzielić od reszty Niziny Polskiej. Potężna Pradolina Toruńsko-Eberwaldzka na północy, Wał Górz Trzebnickich na południu, południkowa dolina Odry i Nysy na zachodzie oraz krawędź Wyżyny Łódzkiej i dolina Wisły na wschodzie, to wyraźne ramy, ujmujące całość geograficzną, jaką jest Nizina Wielkopolska.

W krainie tej wysuwa się na czoło bardzo prosty trójpłatowy układ w ogólnym schemacie rzeźby: najniższe piętro tworzą równiny dolin i pradolinne, piętro środkowe — tzw. równiny wysoczyznowe i piętro górne — pagórki moreny czołowej.

Równiny piętra środkowego, zbudowane w ogromnej przewadze z urodzajnych polodowcowych glin, a zajmujące około 60 proc. ogólnej powierzchni niziny, wyjaśniają w dostatecznym stopniu, dlaczego to od

Prof. dr Bogumił Krygowski

Woda w krainie dolin

wieków Wielkopolska uchodziła za spichrz zbożowy.

Drugie miejsce pod względem obszaru zajmuje piętro dolinne, na które przypada około 30 proc. ogólnej powierzchni.

W odniesieniu do piętra środkowego, a zatem równin wysoczyznowych, dna dolin leżą 20 do 60 metrów niżej. Nic tedy dziwnego, że jest to strefa intensywnego gromadzenia się wód, spływających między innymi z dwóch wyższych pięter, to jest środkowego i górnego.

Jeśli dla uzupełnienia dodać, że szerokość dolin wielkopolskich, nazywanych pradolinami, waha się w granicach od kilku do kilkunastu, a skrajnie — jak pod Gorzowem — do 30 km, to mamy skalę tego elementu rzeźby Niziny Wielkopolskiej. Jeśli dalej dodać, że na obszarze Wielkopolski, jak nigdzie indziej w Polsce, mamy aż trzy ogromne równoleżnikowo przebiegające pradoliny: Toruńsko-Eberwaldzką, Warszawsko-Berlińską, Barycko-Głogowską i szereg szerokich dolin południkowo przebiegających, to nie będzie ani trochę przesady w stwierdzeniu, iż w tak zwanym pasie Wielkich Dolin Niziny Polskiej, Wielkopolska jest właściwie tym krajem, gdzie koncentracja dolin jest maksymalna.

Piętro górne, to jest najwyższe, zajmuje tylko około 15 proc. ogólnej powierzchni. Jest więc obszarnie najmniejsze.

Ten ogólny układ rzeźby, tak znamienity właśnie dla tej części Polski, pozornie, jak by się mogło wydawać obojętny dla zagadnień gospodarczych, ma wprost kapitalne znaczenie między innymi dla wód omawianego obszaru i to tak powierzchniowych jak i gruntowych. Ogólnie zaś miskowaty układ warstw geologicznych sprawił, że koncentracja wód następuje nie tylko na powierzchni ale także w podziemiu. W owych warstwach, ułożonych miskowato, woda łatwo się gromadzi. Jest to więc okoliczność ze wszelkich miar korzystna, jeśli pomyśleć o ostrym deficycie opadowym, obejmującym ogromną część Niziny Wielkopolskiej.

Pełny jednak obraz nawodnienia otrzymujemy dopiero wówczas, gdy wody powierzchniowe łączymy w sposób ścisły z wodami podziemia. Ta współzależność i ścisłe powiązanie zaznacza się w sposób niezwykle wyrazisty w czasie suszy, kiedy to nasza główna rzeka Warta przetrwać może suszę tylko dzięki dostawom wody z podziemia. Przepiękne jeziora — ozdoba Wielkopolski — żyją głównie wodami gruntowymi, nie zaś, jak by się to mogło wydawać, z opadów atmosferycznych bezpośredniego ich otoczenia.

Bilans obiegu wody na Nizinie Wielkopolskiej raczej bardzo znacznie odchyła się od klasycznego, podreżnikowego schematu bilansowego, według którego rozchód wody

Jerzy Korczak

Ilustr. Ewa Pruska

na wnu

Znalazłem się w tamtym miescie wczesnym rankiem całkiem nieoczekiwanie i właściwie jakby bez udziału własnej woli. Przed północą ocknąłem się z półsnu: zapragnąłem widoku ludzi choćby obcych i całkowicie obojętnych. Marzyłam się także butelka zimnego piwa, którą o tej godzinie można było dostać tylko w nocnym lokalu albo na dworcu. Ubrałem się szybko i biegnąc prawie pustymi ulicami stanąłem po kwadransie w wielkiej hali, zalanej zimnym światłem jarzeniówek. W dworcowej restauracji piwa już nie było. Usiadłem przy stoliku sącząc powoli lepką, różową lemoniadę. Do domu nie chciałem mi się wracać. Wiedziałem, że i tak nie zesnę. Złe myśli nie opuszczały mnie ani na chwilę. Od dłuższego już czasu nie mogłem się wygrzebać z coraz liczniejszych tarapatów. Z początku próbowałem się przeciwstawić rozmaitym figlom losu; kłóciłem się i prawowałem, zajądłem dochodząc swoich racji. Po jakimś jednak czasie odkryłem, że wszystkie te racje obracają się zawsze przeciwko mnie. Nie były to nigdy sprawy wielkie i zapewne należało udawać, że się niczego nie dostrzega i robić swoje. Tak przynajmniej radziła garstka życzliwych mi ludzi. „Milczcie i przytakiwajcie. O! i cała filozofia!“. Oczywiście, mieli słusność. Ale coś z tego kiedy do tej prostej prawdy doszedłem po niewczasie. Bo ostatecznie komu mogło szkodzić, że inspektor Pytlak wyjeżdżając w teren dorabia sobie handlem dewocjonaliami? A mnie się to nie podoba i swoje zdanie na ten temat wygłaszałem publicznie. Nie przewidziałem tylko jednego: inspektor Pytlak miał długie ręce, wystarczająco długie, aby mnie pozbawić pracy. Zresztą musiało się to stać wcześniej czy później, bo jak głosiła fama charakter miałem zgryźliwy i trudny, a z takim charakterem nie można przecież współżyć z ludźmi.

Wlewałem w siebie właśnie ostatni tyk tych rozpuszczonych landrynek, gdy usłyszałem przez megafon nazwę miasta, w którym przed trzema laty osiedliła się Henryka. Pociąg był już podstawiony — odjazd zapowiadano za dwadzieścia minut. Kelnier zupełnie nieoczekiwanie wyszł przy moim stoliku; zapłaciłem i skierowałem się do wyjścia. Byłem zmęczony i znieczulony na wszystko, co działo się we mnie i wokół mnie. A potem, już na ulicy, zamiast przeciąć plac i wąską uliczką ruszyć ku domowi, całkiem bezmyślnie zawróciłem i znalazłem się na peronie. Pociąg był pod parą, zawiadowca krążył wokół wagonów, patrząc niecierpliwie na zegarek. Zanim wskoczyłem na stopnie, sięgnąłem jeszcze ręką do kieszeni; tkwił tam ostatni, złożony w ósemkę banknot. Akurat, żeby zapłacić za bilet.

I oto po kilku godzinach podróży byłem na miejscu. Pustą jezdnię toczyła się platforma pełna mleka. Ciężki perszeron klaskał leniwie kopytami o bruk. Tak sam wóz przejeżdżał co dzień pod moimi oknami; był to znak, że czas wsiadać do pociągu.

Szedłem teraz równoległo do tego wozu, nie zwracając uwagi na złowrogi zez zaspianego furmana i wcale nie myśląc, co mnie przyniosło do tego miasta. Parząc usłą gorącym mlekiem, które piłem w barze za ostatnie grosze, zastanawiałem się, co powiem Henryce na przywitanie: „Chciałem się koniecznie z tobą zobaczyć. Stałe myślałem o tobie“. Albo: „Z nikim mnie tyle nie łączyło. Przeżyliśmy przecież ze sobą...“

Nic innego nie przychodziło mi do głowy, pustej teraz i zbolalej.

— Ty, tutaj? — Nie umiała ukryć zdziwienia, które szybko zagadła jakimiś obojętnymi zdaniem. W wąskim korytarzyku było mroczno; nie widziałem jej twarzy, a gdy wchodząc do pokoju chciałem się przywitać zniknęła szybko wciąż z twarzą osłoniętą, nie mrokiem teraz, lecz jakimś zręcznym przechyleniem ramienia. „Muszę się trochę ogarnąć!“

Ogarniała się, dość długo nie pozwalając mi jednak na zebranie myśli. Zabawiła mnie z drugiego pokoju historijkami wciąż idealnie wyprutymi z wszelkich treści. Męczyło mnie to, bo znałem Henrykę jak samego siebie i wiedziałem, że taka rozmowa kosztuje i ja sporo wysiłku. Kiedy wreszcie była gotowa stanęła przede mną i bez żadnego wstępu spytała:

— Po co przyjechałeś?

Zamiast odpowiedzi zlustrowałem ją od stóp do głowy. Koło oczu przybyło

jej trochę zmarszczek; ukrywała to pod grubszą niż przedtem warsiwą tuszą. Przytrzymałem jej rękę i zmusiłem się do uśmiechu.

— Chciałem cię zobaczyć. To przecież minęły już trzy lata... — Ledwo wyczuwalnie oswobodziła swą dłoń i powtórzyła pytanie: — Po co przyjechałeś?

— Sam nie wiem. — Bezwolnie, na przekór sytuacji wpadłem w ton błazeński i beztroski. — Może po to, żeby ci się oświadczyć. Znamy się jak lyse kobyły. — Zająrzałem jej w oczy badawczo i bez cienia czułości. — Chciałbym, żebyś mi pomogła. Zawsze miałas głowę na karku, a ja...

— Nie masz z czego żyć? Straciłeś pracę? — Odsunęła aksamiennego pierrota i usiadła na kozelce, dotykała prawie moich kolan. Pomimo tej bliskości wyczuwałem wyraźnie, że nie chce wyjść moim troskom naprzeciw. Jej chłodna czujność wyprowadziła mnie z równowagi.

— Krótką masz pamięć. Czy zapomniałaś już...

— Chcesz mi pewno przypomnieć, ile ci zawdzięczam. Po to chyba tylko przyjechałaś, co?

Pytanie było rzeczowe i bez cienia ironii. Może dlatego całkiem bezwiednie przytaknąłem.

— Tego chyba nie zaprzeczysz. Ładnie byś wyglądała, gdyby nie ja!

Po sekundzie pożałowałem swojej szczerości. Popatrzyła na mnie w milczeniu, ale tym spojrzeniem powiedziała mi właściwie wszystko. Inny na moim miejscu wstałby z tej kozelki i pięknie by się pożegnał. Ale ja i na to nie umiałem się zdobyć. I znów jak dawniej poczułem, że nie ma sytuacji, w której ona nie górowałaby nade mną. Nawet wtedy, gdy stojąc na głowie, wyciągnąłem ją zza kratki; i wtedy ona uważała to za coś całkiem oczywistego. W końcu sam uświadziłem, że wszystko co dla niej zrobiłem, było tylko obowiązkiem.

— Słuchaj, Henryko! — Nie znosiłem tego jej imienia; zawsze z najwyższym trudem przechodziło mi ono przez gardło. — Nie chciałem ci sprawić przykrości, nie gniewaj się na mnie! — Przemawiał teraz przeze mnie strach; bałem się, że uzna naszą rozmowę za skończoną i każe mi wyjść.

— Nie gniewam się. Za co? — Wzruszyła ramionami i zmusiła się do uśmiechu, który wydał mi się uśmiechem przyjaźni i przebaczenia. Dotknąłem jej kolana i choć nasirój nie wydawał mi się ku temu sposobny, zdobyłem się na gest śmielszy i całkiem jednoznaczny. Byłem prawie pewien, że odsunie się teraz. Ale tak się nie stało. Nie broniła ani tych wstępnych pieszczoł ani w ogóle niczego. Kiedy po chwili podniosła się z kozelki, przywracając do porządku swoje lekko tylko rozburzone włosy, zdawało się, że między nami nic nie zaszło. I rzeczywiście gorątkowo usiłowałem przypomnieć sobie na czym zatrzymaliśmy się w tej naszej skąpej rozmowie. Wszystko inne, co było potem, a skończyło się ledwo kilka sekund temu, zdawało się nie istnieć. Spojrzałem na nią spod oka. Trzymała między zębami wsuwki do włosów, cała pochłonięta poprawianiem swojej fryzury, która właściwie była całkiem bez zarzutu. Chciało mi się śmiać — oto co znaczyło mieć kobietę!

Podniosłem z podłogi aksamiennego pierrota i bardziej do niego niż do niej wymruczałem jakąś krótką, banalną sentencję. A potem uznałem, że jednak milczenie trzeba przełamać i że znalazłem się tutaj przecież w całkiem konkretnych celach.

O zatrudnieniu absolwentów szkół wyższych nie można mówić tylko w czasie teraźniejszym. Bo określona czasem teraźniejszym argumentacja nie wystarcza. Trzeba dokonać konfrontacji z zaplanowaną przyszłością. Ale i to wystarczyć nie może!

Dla uzyskania pełnej klarowności obrazu powróćmy wypadka do błędu przeszłości. Pamiętamy bowiem doskonale, jak to wiadomość o porzuceniu systemu nakazów pracy przyjęto z niekłamnym aplauzem. Jako słusność bezsporna, jako konieczność po stokroć uzasadniona. By jednak przysłowiowa równowaga nie została zwichnięta, razem z brudną wodą wylano dziecko. Grzebiąc nakazy, politykę administracyjnego przymusu, politykę podporządkowania spraw jednostki interesowi społecznemu bez względu na cenę, usankcjonowano nie tyle prawo wolnego rynku, ile prawo niekontrolowanej żywiołowości. Absolwent, jak kot, począł chadzać własnymi, prywatnymi drogami, wykielniętymi na ogół za sprawą znajomości i pleców.

Atoli już po niewielu latach przyszło nam zbierać owoce.

Z jednej strony — uczelnie systematycznie zwiększały swoją „produkcję“, z drugiej zwiększały się niekorzystne dla gospodarki dysproporcje. Narodziły się gorsze i lepsze miasta, lepsze i gorsze regiony kraju, lepsze i gorsze przemysły. Wolny rynek zatrudnienia zaludniał się nieproporcjonalnie do żywotnych interesów i potrzeb; obok przesyconych miast — na przykład Warszawa, Kraków, Trójmiasto — istnieją miasta wołające o kadry — na przykład Wrocław, Łódź. Na dowód chyba nie trzeba liczb. Wystarczy rozejrzeć się wokół siebie, po własnych podwórkach. Prawo wolnego rynku przyczyniło się w niemałym stopniu do deprecjacji społecznego sensu kształcenia.

I te przyczyny, obok potęgającej się dynamiki rozwoju gospodarczego kraju, obok wciąż tak silnie odczuwanego deficytu kadr nakazują powrót do polityki planowej, do polityki racjonalnego wykorzystywania kadr z wyższym wykształceniem. O tych sprawach mówił się również na XI Plenum KC PZPR. By naprawić błąd przeszłości, trzeba w imię

Jerzy Hubert

Czy powrót do nakazów?

przyszłości dążyć do wykorzystania z pełną odpowiedzialnością każdego człowieka z kwalifikacjami.

Ale racjonalna polityka zatrudnienia absolwentów nie może oznaczać powrotu do nakazów pracy. To chyba jasne jak dwa razy dwa. Nakazy — przynajmniej to szczerze — abstrahowały od sytuacji jednostki, od jej

Dlatego, jeśli się teraz mówi o kierowaniu do pracy, nie można przeginać sprawy w stronę administracyjnych rozwiązań. Zdawało się przecież, że stypendia fundowane w idealny sposób rozwiążą ten problem. Praktyka wykazała coś wręcz przeciwnego. Od razu przy rozdziale stypendiów doszły do głosu uproszczenia biurokratyczne i stypendia w podstawowej części straciły swoje znaczenie.

Zatem:

► wydaje się, że trzeba powrócić do polityki kierowanej z zachowaniem pełnej dyscypliny,

► trzeba zwiększyć odpowiedzialność za politykę zatrudnienia (właściwe, specjalnie dla tych zadań powołane uczelniane komisje, grupujące szeroki wachlarz przedstawicieli). Powinna przy tym obowiązywać zasada, że bez skierowania właściwej komisji nikt nie zostanie przyjęty do pracy.

Ale gdy mówimy o dyscyplinie — to musi to być dyscyplina dwustronna. Trzeba podwoić, sprzecyzować i określić rygory obowiązków pracodawcy względem absolwenta. I to nie w sposób płynny, enigmatyczny. Chyba nie może być takich sformułowań, jak „powinien zagwarantować mieszkanie w pierwszej kolejności“. Oznacza to bowiem bardzo wiele. Jeden pracodawca odda do dyspozycji absolwenta pałac, a drugi kurnik. Jeden w ciągu tygodnia — drugi w ciągu pięciu lat. Zakłady pracy posiadają obecnie możliwości i orientację dla sprecyzowania tych gwarancji. Jeżeli tego nie zabezpieczą nowe przepisy, jeśli nie określą się rygorystycznej egzekucji tych przepisów, to wówczas sens kierowania do pracy osiągnie wyłącznie cel administracyjny. Nie osiągnie celu społecznego.

Konstanty Kalinowski

Wystawa A. Zydronia

W górnej salce popularnego Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki czynna jest obecnie wystawa pasteli i rysunków polskiego artysty ANTONIEGO ZYDRONIA. Pokazano na niej szereg rysunków i szkiców kilku serii tematycznych: KOSMICZNE PEJZAZE, GEOGRAFIA KOBIECA, RYTMY JESIENNE, stanowiące materiał przygotowawczy dla przyszłych prac malar- skich.

Większość wystawionych prac wykonana jest w zapomnianej nieomal i rzadko obecnie stosowanej, a niegdyś popularnej w XIX w. technice pastelu, umożliwiającej uzyskanie delikatnej, miękkiej, „aksamiitnej“ faktury i lagodnych przejść barwnych, stanowiące dodatkowe efekty plastyczne wzbogacające kompozycje. Ciekawy eksperyment odświeżenia starej techniki i przystosowania jej do współczesnych form wypowiedzi malarzkiej zasługuje na szersze miar na pochwałę. Natomiast w przypadkach, gdy artysta stosuje łączenie pastelu z innymi technikami graficznymi z reguły wyniki są mniej zadowalające i zatracona zostaje charakterystyczna malarzka miękkość pastelu.

Najliczniej reprezentowane są warianty tematu GEOGRAFIA KOBIECA będące studiami aktu — motywem nieomal tak

starego jak same dzieje malarstwa i ciągle na nowo odkrywanego przez kolejne pokolenie twórców. Artysta powraca w nich do formy aktu, którą wypracowali kubiści w początkach XX wieku, z ostro łamanymi płaszczyznami i różnicowaniem kolorystycznym kształtów brył. W niektórych przypadkach łączenie mocnej, agresywnej formy przedmiotu (tzn. aktu) z delikatną malarzską plamą barwną pastelu daje ciekawe efekty szczególnie w BLEKITNYM AKCIE. W innych nawiązuje Zydrón z kolei do futurystycznego dynamizmu przenikających się i nakładających płaszczyzn barwnych zbliżonych do kompozycji Marinettiego lub Severiniego.

W szkicach GEOGRAFIA KOBIECA forma kubistyczna tworzy mocny szkielec ułatwiający rozwiązanie złożonych problemów przestrzenno-kolorystycznych. Inne natomiast kompozycje, pozbawione tego organizującego elementu, wykazują pewną chwiejność formy, brak koordynacji kolorystycznej oraz niezamknięcie kompozycji w ramach formatu, szczególnie w cyklach KOSMICZNE PEJZAZE i RYTMY JESIENNE, w których Zydrón odchodzi od indywidualnego przetwarzania przedmiotu w kierunku integralnej kompozycji abstrakcyjnej.

Na wystawie pokazano również kilka rysunków, z których DZUNGLE i ZAMARLA DZUNGLA wyróżniają się nerwową, dynamiczną kreską. Jednak i w tych przypadkach niechęć do zamknięcia kompozycji i traktowanie jej jako wyznika bliżej nie zdefiniowanej całości, doprowadza do rozbicia kompozycji oraz znacznej autonomizacji kreski prowadzącej do secesyjnej dekoracyjności. Zdecydowanie konsekwentniejsza w swojej strukturze jest ORCHIDEA, w której płaszczyzny czerni i bieli w połączeniu z uspokojoną linią tworzą skonstruowaną całość.

Zydrón, korzystając z różnorodnych wzorów formalnych, poszukuje wyraznie własnych, indywidualnych form wypowiedzi, niestety, jak dotąd korzysta jedynie z doświadczeń minionych epok malarstwa europejskiego.

— Nie wszystko zapomniałaś, co było między nami, prawda Henryko? — Gest, na który się teraz zdobyłem był ciepły i liryczny. Gładząc ją po czole, włosach i policzkach wierzyłem, że przełamam się wreszcie lody, których nie potrafiłymi stopić w bardziej intymnym zbliżeniu. Ona jednak była wciąż obca i zamknięta w sobie. Tak jak przed chwilą i tych gestów mi nie broniła, ale ta jej niezrozumiała bierność obrażała mnie bardziej niż złość i opryskliwość. Do tego jednak nie chciałem się sam przed sobą przyznać.

— A więc tym razem ty jesteś pod wozem? — Odsunęła się nagle ze zniecierpliwieniem; robiła wrażenie, jakby dopiero teraz zauważyła, że ją całuje. — Role się więc zmieniły, co? — Zasmiała się krótko i odrobinę złośliwie. — I jak sobie wyobrażasz moją pomoc? — Wstała z kozelki i zakładając nogę na nogę usiadła za okrągłym stołem, na którym stał fikus w glinianej doniczce. Ruchem tym zaznaczyła, że jest gotowa do rzeczowej rozmowy. — Czego ode mnie chcesz?

— Zawsze wierzyłem, że kto jak kto, ale ty... Przecież kiedyś...

W milczeniu pokiwiała głową; urwałem w pół zdania, oczekując, że teraz wreszcie padną słowa, na które tak długo czekałem.

— Nienawidzę cię. Zawsze cię nienawidziłem. Właśnie dlatego, że byłeś wtedy górą. Czy to rozumiesz? — Patrzyła mi w oczy, nie mrugając ani na mgnienie powiek. To jej zimne, nieruchome spojrzenie czułem na sobie długo jeszcze, gdy idąc bez celu przed siebie, nie myślałem o niczym.



